

Dąbrowska i Kucówna

To jasne, że każdy z nas miewa przeżycia wstydlive, do których niechętnie się przyznaje i o których woli nie mówić. Przy pewnych okazjach jednak nie sposób o nich nie wspomnieć. A taka okazja dziś mi się właśnie nadarza. Otóż ze wstydem wyznaję, że mimo kilkakrotnie ponawianych wysiłków i mimo mojej najlepszej woli nie potrafiłem nigdy przeczytać „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej. Przysięgam, że próbowałem. Ale nie mogłem przebrnąć przez więcej niż kilkanaście stron. A już po kilku pierwszych ogarniała mnie — wstydzę się coraz bardziej — bezbrzeżna nuda. I odkładałem książkę.

Nie mogłem też oglądać serialu telewizyjnego opartego na tej powieści. To znowu dlatego, że aktorka grająca główną rolę (choć podobno grała ją bardzo dobrze) zawsze i w każdej, nie tylko w tej roli, działała mi na nerwy. Nie znam więc po dziś dzień „Nocy i dni”. I jakoś żyję.

A przecież, w pełni doceniam wielkość Marii Dąbrowskiej — znakomitej polskiej pisarki. Znam jej opowiadania (zachwyciłem się „Ludźmi stamtąd”), znam jej doskonały przekład „Dziennika” Samuela Pepysa, rozkoszowałem się jej „Szkicami o Conradzie”. Wielka, wspaniała proza Marii Dąbrowskiej rzuca mnie na kolana. Niemożność przebrnięcia przez „Noc i dzień” tym bardziej pozostaje dla mnie tajemnicą.

A z jakiej okazji piszę to wszystko? Ano z tej, że przed kilkoma tygodniami znów miałem sposobność zetknąć się ze świetną prozą Dąbrowskiej. I to w szczególny sposób.

Warszawa, ul. Polna 40, drugie piętro, mieszkanie nr 31. W tym domu i w tym mieszkaniu spędziła Dąbrowska ostatnie 30 lat życia. Dziś funkcjonuje w nim muzeum jej imienia, którego kustoszem jest miła pani Musiałowa (krakowianka, nawiasem mówiąc). Zostałem tam zaproszony na wieczór na pół prywatny, a na pół publiczny (to znaczy, że większość publiczności stanowili zaproszeni goście, a część widzów i słuchaczy wykupiła bilety). Napisałem „widzów i słuchaczy”, ponieważ było co oglądać i — przede wszystkim — było czego posłuchać. Mianowicie Zofia Kucówna recytowała fragmenty młodzieńczego (z lat 1914—1918) „Dziennika” Marii Dąbrowskiej. Był to wieczór niezwykle.

Mieszkanie-muzeum składa się z trzech pokoi, przedpokoju i — na zapleczu — kuchni (służącej podczas tego wieczoru za garderobę Kucówny. Są tam też pewnie jakieś przy należności). A w pokojach: książki, mnóstwo książek. Nie tylko własnych książek Dąbrowskiej, lecz także tych, które należały do jej domowej biblioteki, fotografie rodzinne, rękopisy i różne drobne pamiątki, tak jak to zwykle w muzeach literackich bywa. Na półkach z książkami roz-

mieszczono w rozmaitych miejscach białe kartoniki z pięknie wydrukowanymi cytatami z wybranych pism autorki.

W największym pokoju (od wejścia, na lewo) ustawiono kilkadziesiąt krzeseł. Przed nimi jedno krzesło i mały stolik. Z tyłu, w kącie, reflektor, który rozbłyśnie, gdy wszyscy już usadowimy się w tych krzesłach, a przed nami stanie Zofia Kucówna, skromnie ubrana, w białej bluzeczce i narzuconym na ramiona zwykłym, włóczkowym szalu.

Znam Kucównę od lat i niejedno wzruszenie zawdzięczam jej wielkiemu talentowi. Przed chwilą napisałem, że „recytowała” ów tekst Dąbrowskiej. Nie jest to określenie właściwe. Narzuca jakąś nienaturalność, jakiś patos, w tym przypadku Kucównie jak najdalszy. Mistrzostwo, z jakim (z pamięci, oczywiście) mówi tę — wtedy już świetną — prozę, z jaką oddaje przeżycia autorki (ich rozległą skalę od wesołości aż do smutku i rozpaczę po stracie męża), z jaką przekazuje opis wydarzeń historycznych (kapitałna opowieść o Piłsudskim) — to mistrzostwo godne jest podziwu.

Ponad godzinę siedzieliśmy zaciekawieni, oczarowani, weseli lub zasmuceni. Wrażenie ogromne. Jedna wielka artystka oddała tu swój talent drugiej wielkiej artystce, żeby przypomnieć nam jej młodość spędzaną w okresie burzy dziejowej, jaka przetaczała się przez nasz kraj. Dzięki interpretacji Kucówny, wydobywającej w sposób przejmujący najłżejsze niuanse tekstu, nabrał on dramatyzmu, jakiego z pewnością — w tym stopniu — nie ujawniłby w czytaniu. I zaciekawili nas tak dalece, że zakończenie przyjęliśmy niemal z przykrością. Ale Kucówna przyrzekła ciąg dalszy. Wystąpi z nim już w marcu. Można więc także podziwiać pracowitość artystki, która równocześnie gra przecież aktualnie w Warszawie aż w dwóch teatrach.

A po skończonym występie, kiedy publiczność już wyszła, kilkoro z nas zasiadło przy stylowym, okrągłym stole, żeby przy kawie (lub herbacie) serwowanej przez panią Musiałową, wymieniać jeszcze uwagi i wrażenia. Uroczą rozmowa, w której nb. najczęściej wypowiadał się Jerzy Waldorff, pamiętający jeszcze z wczesnego dzieciństwa opisywane przez Dąbrowską czasy, przeciągnęła się do późna. Ktoś właściwie powinien był tam nastawić magnetofon: bo ileż wspomnień, anegdot, opinii i zwierzeń należałoby utrwalić. Takie rozmowy też tworzą kulturę: zapisane i ożywione potem na kartach pism czy książek, są nie tylko jej wytworem, lecz także świadectwem.

Jakże ważne jest słowo! Powiedziała Dąbrowska, a za nią Kucówna, kończąc tym zdaniem swój wspaniały występ: „Od tej pory domem moim stało się słowo. Jeśli mu nie podołam, to zginę”.